

Święto wiosny Adama Zagajewskiego

Andrzej Sulikowski

Wczesnie rano, około 6.30, w poniedziałek 22 marca, w pierwszy dzień astronomicznej wiosny, zagląda do mnie żona w koszuli nocnej, prosto ze swego pokoju, więc trochę jeszcze dla mnie zjawia: „Wczoraj umarł w Krakowie Adam Zagajewski. Miał siedemdziesiąt pięć lat”. Nic nie odpowiadam. Wydaje mi się to widziadłem sennym, nieprawdziwym, choć przecież symbolicznym. Chciałbym się obudzić na dobre, usłyszeć zaprzeczenie tego zdania. Sylwetka znikła w szarym świetle poranka. Przypomnił mi się krótki wiersz-westchnienie *Przyszłość* z tomu Adama Zagajewskiego *Jechać do Lwowa* (Wydawnictwo „Aneks”, Londyn 1985):

Przyszłość istnieje, lecz wiemy o niej
tak mało.

Przyszłość zostawia nam śladów nie
więcej, niż wielka dama, gubiąca
chusteczkę w przedpokoju.

I nie wiemy, co do niej należy:
gałązka bzu w rozkwicie
rdzawa plamka na koszuli
czy szara nicość świtu

Nadawany właśnie przez radio różaniec ofiarowałem od razu za starszego o pięć lat koleżę, znakomitego pisarza i poetę. Człowieka niezwyklej wrażliwości na słowo, na obecność bliźniego, na przyjaźń. Od czasu, jak wyjechałem z Krakowa, w roku 1986, nie było wielu okazji do spotkań i rozmów. Najwyżej zdawkowe, choć serdeczne powitania na pogrzebie wspólnych, starszych mistrzów po piórze. Najpierw Stanisława Lema (*12 IX 1921, Lwów †27 III 2006, Kraków), a trzy lata później Jana

Błońskiego (*15 I 1931, Warszawa †10 II 2009, Kraków). Obaj wybitni twórcy, mieszkający obok siebie na willowym osiedlu Kliny, na południe od Krakowa, zaprzyjaźnieni od lat pięćdziesiątych minionego stulecia, pochowani zostali na Cmentarzu Salwatorskim, wysoko ponad doliną Wisły, z widokiem szeroko otwartym na południe, ku pobliskim Beskidom, a szczególnie ku wspaniałej Babiej Górze wyrastającej z potężnego grzbietu Policy. I już tutaj, przy Alei Waszyngtona, nasi mistrzowie pozostaną na wieki sąsiadami, przy asfaltowej drodze łączącej Kopiec Kościuszki z pętlą tramwajową Salwator, w pobliżu Klasztoru Norbertanek oraz ujścia rzeki Rudawy do szerokiej, wolno płynącej Wisły.

Stojąc przy grobie Błońskiego, widziałem sporą gromadę znajomych i przyjaciół, a wśród nich poważnego w tym dniu Adama Zagajewskiego, przygnębionego, jak my wszyscy, o smutnym spojrzeniu ciemnych, wyrazistych oczu. Już dostojnego, szpakowatego, z resztkami włosów wokół krągłej, łysawej czaszki. Nawet słynne – czarne niegdyś i grube brwi poety – przyprószone były teraz srebrzystą siwizną. Zachował jednak swój charakterystyczny, młodzieńczy, trochę melancholiczny uśmiech, jakby czas nie upływał i mogły powrócić lata młodości w Krakowie epoki gierkowskiej, kiedy to spotykaliśmy się dość często, czy to na odczytach literackich przy Krupniczej 22, czy w redakcji „Studenta”, gdzie Zagajewski pracował przez parę lat, przyjmując również ode mnie kilka tekstów.

W połowie minionego stulecia Cmentarz Salwatorski z roku na rok zyskiwał na znaczeniu z powodu wypełnienia niemal po brzegi

starej nekropolii na Rakowicach. Wszakże przy Cmentarzu Rakowickim mieszkał wtedy młody Adam Zagajewski, już sławny w polskim świecie literackim – głównie z powodu książki krytycznoliterackiej napisanej wspólnie z Julianem Kornhauserem *Świat nie przedstawiony* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974), która wywołała w kraju sporą dyskusję i uważana jest przez historię literatury polskiej XX stulecia za pozycję inspirującą, w wielu punktach sporną, lecz zasługującą na odnotowanie w prasie literackiej oraz późniejszych opracowaniach naukowych. Podliczono nawet po latach – jak powiedział mi Julian Kornhauser – że właśnie *Świat nie przedstawiony* doczekał się największego rezonansu społecznego ze wszystkich książek krytycznoliterackich wydrukowanych po polsku po II wojnie światowej. Można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że to była pozycja najpopularniejsza w niemalym ilościowo dorobku „Zagaja” (jak go czasem nazywaliśmy żartobliwie), przeczytana i skomentowana przez mnóstwo czytelników.

Jako poeta i eseista, nawet jako prozaik, nigdy już potem nie przyciągnął jednocześnie uwagi tylu odbiorców tworzących współczesną publiczność literacką. Ale pozostał przecież na swoim stanowisku oryginalnym estetyczno-filozoficznym, określonym w latach jeszcze młodzieńczych, tzn. przed trzydziestką, wierny paru podstawowym kwestiom: czym jest prawda w życiu literackim i kulturze?, dlaczego nie potrafimy analizować ograniczeń sztuki pisarskiej istniejących współcześnie?, co sprawia, że uważniejszy czytelnik ma do czynienia ze „światem nie przedstawionym”?

W tym miejscu zapiszmy istotną uwagę ortograficzną. Od kilku już lat obowiązuje w polszczyźnie pisownia łączna zaprzeczenia z imiesłowem przymiotnikowym biernym. Otóż zachowujemy tutaj celowo grafię oddzielną, już historyczną, gdzie zaprzeczenie

pozostaje wyizolowane jako akcent semantyczny sprzeciwu: „świat nie przedstawiony”. Środkowy element jest tu ideowo najważniejszy. W latach ówczesnej rewolucji kulturalnej, obejmującej Zachód i częściowo PRL, znaczenia nabrały znaki najkrótsze, nadające się na transparent. Znak sprzeciwu ograniczony do trzech liter.

Tak więc Zagajewski przystąpił z Kornhauserem do grupy poetyckiej „Teraz”, której istotnym filarem poznańskim stał się niezmiernie pracowity i wszechstronny Stanisław Barańczak, podejmujący w swych artykułach oraz książkach walkę o wolność słowa, o wypłucie knebla, jakim teraz dławiła się kultura polska na skutek działania cenzury komunistycznej. Drugim poznaniakiem był wówczas Ryszard Krynicki, autor zwięzłych wierszy, świetny czytelnik poezji, odzywający się rzadko, lecz z wielką przenikliwością. Wszyscy współuczestnicy „Teraz” dostrzegali rozległe przestrzenie rzeczywistości zupełnie przemilczanej przez pisarzy minionych okresów literackich. Chodziło o historię społeczną wojny i okupacji, a następnie lat w Polsce niby już wyzwolonej, a przecież z roku na rok dławionej żelazną dłońią Stalina, potem Chruszczowa i Andropowa oraz całej armii polskich janczarów, poczynając od Bieruta, a na generale Jaruzelskim kończąc.

W przypadku pisarzy i twórców kultury na każdym kroku pojawiał się system Orwellowskich zapór, słuz czy punktów rewizyjnych, który jeden z ówczesnych publicystów nazywał „cenzurą totalną”, opisując kolejne ogniwa w łańcuchu komunikacyjnym, skonstruowanym dla PRL ściśle według wskazówek Kremla. Mamy tu na myśli odczyty Andrzeja Kijowskiego z drugiej połowy lat siedemdziesiątych XX wieku, znakomite felietony i wykłady Stefana Kisielewskiego przeznaczane dla „uniwersytetów” robotniczych czy młodzieżowych, wreszcie pamiętne eseje Stanisława Barańczaka drukowane

już poza zasięgiem cenzury: albo w kraju, albo za granicą.

Uczciwą, niepodległą nicości (metafora Krynickiego) polska literatura emigracyjna była wówczas znana nielicznym specjalistom, krytykom literackim czy stypendystom, przemycającym z Paryża czy Londynu pozostające na indeksie komunistycznym książki Czesław Miłosza, Witolda Gombrowicza, Andrzeja Bobkowskiego, Marka Hłaski, Józefa Mackiewicza i wielu innych. Bardziej uświadomieni uczestnicy wycieczek „Orbisu” do Holandii, Niemiec czy Francji za punkt honoru mieli, aby przeszmuglować do PRL chociaż parę numerów „Kultury” paryskiej czy egzemplarz *Zniewolonego umysłu*.

Sporo takich zakazanych pozycji oglądałem w krakowskim gabinecie Adama Zagajewskiego, na szczycie wieżowca przy ulicy Chrobrego 29, z widokiem na stary Kraków, pobliską dzielnicę Olsza oraz nieco na wschód oddaloną Nową Hutę z dymiącym wówczas kombinatem. Poeta nie zważał na postępującą industrializację Krakowa i okolic. Pracował niezmiernie systematycznie, zawsze niemal w godzinach przedpołudniowych. Nie przyjmował wówczas interesantów i nie odbierał telefonów, ażeby przez parę godzin pozostać w samotności nad pustą, białą kartą papieru.

Zagajewski był autorem wszechstronnym, odczytanym, władającym biegle maszyną do pisania i zdolnym także – za przykładem Stanisława Barańczaka – do obsługi własnego komputera domowego. Z początkiem lat osiemdziesiątych minionego wieku były to jeszcze narzędzia elitarne, skonstruowane w USA, w Japonii albo na Zachodzie – z nadzieją oczekiwane także przez humanistów z „demoludów”, odgrodzonych od cywilizacji łacińskiej szczelną, żelazną kurtyną. Mimo wszystko pierwsze swoje pomysły poetyckie Zagajewski zapisywał najchętniej zwykłym piórem wiecznym, używając pradawnego

sprężenia biologicznego pomiędzy mózgiem, sercem i dłonią przedłużoną końcówką parkera. Tak powstał również zgrabny, może trochę retoryczny wiersz *Nasze doświadczenia z tomu Jechać do Lwowa*:

Zdobyliśmy nowe doświadczenia –
radość, potem smak klęski, smutek,
odrodzenie się nadziei –
nowe doświadczenia, które można też
odnaleźć w dziewiętnastowiecznych
pamiętnikach.
Co więc jest w nich nowego?
Przyjaźń? Czułość?
Związki pomiędzy ludźmi?
Odwaga wyzwolona na moment i z powrotem
zwinęta, jak transparent?
Bicie serca? Ta chwila nad ranem,
kiedy wydawało nam się, że naprawdę
jesteśmy razem, oswobodzeni nie tylko
od lęku, ale i od obcości?
Dźwięk dzwonów kościelnych, lekki
i czysty, jakby śpiewała ważka?
Okruchy przeżyć? Wiedza?
Znaki zapytania?

Wiersz ten czytamy jako monolog pokolenia, które przeszło przez niewidoczną granicę wieku średniego. Mówi tu poeta w imieniu rówieśników, którzy nie znaleźli czasu i ochoty, ażeby podsumować doświadczenia młodości. Charakterystyczne dla Zagajewskiego wydaje się wspomnienie „dziewiętnastowiecznych pamiętników”, które poeta potrafił czytać z wielką empatią, znajomością historii zdarzeń codziennych, przemijających prędko i niezauważalnie. Czytając wówczas *Apokryf rodzinny* Hanny Malewskiej, autor wiersza odkrywał u starszej pisarki niezwykle umiejętności: odtwarzania życia duchowego osób od dawna – choć niecałkowicie – pochłoniętych przez zapomnienie. Przy tej metodzie „apokryficznej” należało posługiwać się rzetelnymi narzędziami

epickimi. Rozumieć i opisywać minioną epokę, lecz traktować swe wysiłki pisarskie z niejaką podejrzliwością. W tym przypadku skuteczna okazywała się ironia Norwidowska.

U końca *Naszych doświadczeń* wspomina się „Dźwięk dzwonów kościelnych, lekki i czysty, jakby śpiewała ważka”. W tym pięknym zdaniu poetyckim istnieje niewymienione z imienia miasto. Czytelnik usiłuje wstawić tu element prawdopodobny. W biografii twórczej Zagajewskiego wielkie i wzrastające znaczenie ma pradawny Lwów, skąd rodzina poety musiała emigrować do Polski zachodniej. Osiedlili się w Gliwicach, do których poeta miał powściągliwy stosunek emocjonalny. Dopiero w okresie krakowskim odnalazł pod Wawelem namiastkę utraconego grodu, podobnie jak Stanisław Lem, który w swej autobiografii wybierał zawsze Wysoki Zamek jako symbol odebrany przemocą.

W latach osiemdziesiątych minionego stulecia Adam Zagajewski zatrzymywał się na Zachodzie bliższym i dalszym, wykładając także na uniwersytetach amerykańskich. Gdy spotykaliśmy się w Paryżu, w cieniu nie naruszonej jeszcze Notre Dame, wracał chętnie do wspólnych motywów krakowskich. Powstawały wówczas kolejne wiersze i coraz liczniejsze znakomite eseje, które mógłby już sam tłumaczyć z polskiego na trzy języki obce, którymi się skutecznie posługiwał: angielski, francuski i niemiecki. Dzięki przygotowaniu lingwistycznemu pełnił rolę poetyckiego ambasadora polskości. Za sprawą swych krótkich, łatwo przekładalnych „komunikatów” lirycznych stał się znanym autorem w cywilizacji euroatlantyckiej. Oczywiście, Nagroda

Nobla byłaby dlań najgodniejszym wyróżnieniem, lecz i bez tych wszystkich światowych splendorów poeta zachowuje wybitną, osobną i oryginalną pozycję w historii literatury polskiej.

W ciągu dwudziestu lat emigracji Adam Zagajewski poszerzał i pogłębiał swoją znajomość sztuki dźwięku. Muzyka w stosunku do poezji wydaje się domeną bardziej abstrakcyjną, wyżej położoną, by tak rzec, ale łatwiej przystępną – ponad sensami językowymi. Dobre dzieło sztuki muzycznej poznajemy przeważnie już przy pierwszym słuchaniu. Przypominam sobie nasze rozmowy o Igorze Strawińskim i jego światowym rozgłosie artystycznym. Przechadzaliśmy się nad Sekwaną. Padały kwietniowe deszcze. Adaś planował wyjazd do podparyskiego lasku, gdzie odkrył mało okupowane, czyste, malownicze jezioro, dostępne dla każdego wytrwałego pływaka. Wracał tam co roku w sezonie cieplejszej wody, odpowiedniej do dłuższych kąpieli.

Gdy teraz w marcu 2021 roku czytam nekrologi Zagajewskiego, wychodzę poza ton czysto funeralny, jak u Beethovena czy Chopina. Twarz poety widzę różnobarbną, w całej paletce blasku i koloru lokalnego. Odszedł w pierwszy dzień wiosny, obiecując dyskretnie swym czytelnikom coś więcej niż tylko czarno-białe ramki otaczające nekrologi w prasie codziennej, na stronach internetowych. Mnóstwo daremnych słów – przemianą razem z „pieczęcią druku”, jak to nazywał Norwid.

Szczecin-Głębokie, 22 III–6 IV 2021